Miłość, alkohol i poezja, czyli Szymborska z mojego klucza II

II. Miłość i poezja

Leżałam na twardych deskach górnego pokładu promu z Korfu do Bari i patrzyłam w niebo. Kto choć raz widział nocne bezchmurne niebo w górach, na pustyni lub na morzu, ten wie, ile tracą mieszkańcy oświetlonych nocą miast: poczucie jedności z uniwersum. Starożytni astrologowie dwoili się i troili, żeby jakoś zinterpretować to, co każdy widział, ale nikt nie rozumiał. Najbardziej utalentowani podrzucali pomysły. Tak mnożyły się najfantastyczniejsze mity o bogach, bożkach, boginiach, boginkach, herosach, zwierzętach prawdziwych i wydumanych oraz różnych magicznych przedmiotach jak choćby lira Orfeusza, niebiańskiego śpiewaka-poety, syna boga Apollina i muzy Kalliope....

Firmament był ekranem dla projekcji ludzkiej wyobraźni, takie conocne interakcyjne kino, o ile nie zaciągnięte chmurami. Wiele pokoleń naszych przodków musiało się w rozgwieżdżone niebo wpatrywać i kombinować, żeby stworzyć w końcu w miarę dokładne kalendarze i połączyć tajemnicze punkty w rysunki ilustrujące niestworzone historie z to pęczniejącym to niknącym Księżycem, co samo w sobie było przedmiotem najprzeróżniejszych spekulacji. Do tego to boskie światło tak jasne i tak niezawodne, że nikły gwiazdy i po nocach niezmiennie rozbłyskały dni.

Dużo dni i nocy musiało się przewinąć, nim domysły przerodziły się pewność, że firmament nie jest kręcącą się wokół nas kopułą, nie mruga do nas znacząco i że to w ogóle coś zupełnie, ale to zupełnie innego, niż się wcześniej domyślaliśmy, nawet w naszych najgenialniejszych umysłach. Ale memy wypaliły nam się w mózgach tak głęboko, że do dziś patrząc w niebo szukamy znaków przeznaczenia (o ile oczywiście nie jesteśmy astro-obserwatorami z gatunku tych mało odlotowych).

Noc była bezksiężycowa, leżałam i patrzyłam w gwiaździsty spektakl nade mną, daleko w dole pluskało morze odbijające się o kadłub promu, który kołysał usypiająco, maszyny we wnętrzu statku burcząc głucho pchały mnie w stronę kolejnego etapu w życiu. Bo ten, wiedziałam to z całą pewnością, kończył się i zostawał wraz z wyspą Korfu za mną. "*Muszę sobie tę chwilę zapamiętać*", upominałam się, "*muszę sobie zapamiętać... zapamiętać... za-pa-mię-tać, zaaa-paa-mięę-taaać zaaa-paaaaa... mięęę... taaać... aaaaa...*"

Usnęłam. Ale zapamiętałam, nie wymyślam tego na użytek tego wspomnienia, naprawdę sobie to nakazałam i naprawdę zapamiętałam. I teraz widzę tę noc jakby była wczoraj. Zresztą i bez upominania bym jej nie zapomniała. Poprzedziły ją dwa niezapomniane dni na Korfu. Był początek września 1998 roku.

Mój mąż-żeglarz wypłynął w kolejny rejs z początkiem lutego, nie widzieliśmy się siedem miesięcy. Owszem, telefonowaliśmy do siebie, ale do *Skype'a* były jeszcze eony nieistniejącej przyszłości, rozmawialiśmy przez piekielnie drogi telefon satelitarny z konieczności skrótowo opowiadając sobie co nas spotyka w naszych coraz bardziej odpływających od siebie życiorysach.

Ta część mojej opowieści, w gruncie rzeczy najdłuższa, powinna nosić tytuł "Miłość i morze". Ale nie jest to wspominanie kolejnych moich miłości lecz tekst o poezji w moim życiu - w kontekście poezji Wisławy Szymborskiej - więc ta część, jako bliższa prozie Josepha Conrada, teraz tylko w zarysie. Żeglarz, Morze i Conrad innym razem.

Prom dopływając do Bari, miasta królowej Bony, zbliżył mnie nieznacznie do Krakowa, mojego celu, jak, *toutes proportions gardées*, kiedyś celu żony Zygmunta Starego. Daleko miała. Ale nie ma takiego miejsca, do którego nie dałoby się dotrzeć. Jechałam sobie przez całe Włochy tu i tam wysiadając, znana mi z wielu podróży *bella*

Italia niezmiennie była "*bella, bellissima*" i warta coraz to nowego odkrywania...

W końcu dojechałam do Wiednia, a z Wiednia już tylko jedna noc kuszetką i - miasto królewskie Kraków. Cała podróż zabrała mi sześć dni. Królowej Bonie ze świtą i ślubną wyprawką na wielu, bardzo wielu powozach - sześć tygodni roku pańskiego 1518. Ja byłam sama, bez bagażu, i miałam szybsze pojazdy do dyspozycji. Sama w podróży i sama w życiu. Królowa siebie i swojego czasu.

Moje rozstanie z Żeglarzem rozłożone było na kilka lat oddalania się naszych linii życia, nie wynikało z braku chęci bycia razem, czy z jakiegoś nabrzmiewającego konfliktu lub podstępnego obojętnienia. Właśnie dlatego tak trudno było nam się rozstać. Teraz jednak prześwitywał nam finał. Dlaczego? Ten scenariusz na pewno ułożony był przez gwiazdy, nie myśmy go wymyślili. Przez wiele lat naszego związku byliśmy jak rodzeństwo syjamskie zrośnięte duszami, nierozłączni nawet jeśli daleko od siebie, dwoje na łódce (nie licząc psa).

Ale przeznaczeniem Żeglarza było morze, a moim przeznaczeniem morze nie było. Tylko *nażycie-się-wszystkiego*, w tym morza, i *o-tym-pisanie*. Ani on nie mógł zostać na suchym lądzie dla mnie, ani ja z całą moją ogromniejącą biblioteką nie mogłam mu się sprowadzić na jacht. Na Korfu przyleciałam, żeby w dwutygodniowym rejsie dopłynąć do Sycylii. To miało być nasze "widzenie się" po siedmiu miesiącach niewidzenia. Na kolejnych ile? Też siedem?

A i te krótkie dwa tygodnie w towarzystwie kilku osób, płacącej załogi, amatorów urlopu pod żaglami, którzy właśnie mieli nadlecieć. Tłoczno jak na krótkie wakacje we dwoje. Za to dwa dni spędziliśmy tylko ze sobą na urokliwym Korfu w urokliwych kafejkach i knajpkach dogadując rozstanie, potem - i takie paradoksy życie serwuje - to ja odpłynęłam w siną dal. Promem.

Miałam prawie dwa tygodnie z odzysku do zagospodarowania, nasz niemłody już pies Parys, który wcześniej często nam towarzyszył w naszych podróżach, był na te dwa tygodnie w dobrych rękach, u przyjaciół, którzy go lubili a on lubił ich ogromny ogród. Postanowiłam dać mu te wakacje, jak to było w pierwotnym zamyśle. Byłam wolna. Nieśpiesznie ruszyłam przez całe Włochy w kierunku Krakowa.

Na końcu tej podróży z Korfu *via* Kraków do Zurichu - że nieco mój powrót do domu streszczę - czekał na mnie jak na Odyseusza, mój stary wierny pies oraz... bonus od Losu, pewien utalentowany Poeta. Tak chciały Gwiazdy, autorki scenariusza mojego Losu. Ja niczego nie planowałam, nie przewidywałam. Poeta zmaterializował się nieoczekiwanie. Młody polski poeta, że dodam, z ukłonem w stronę "młody" i akcentem na "polski". A jako że Poecie niezbędna jest Muza, a mnie na mojej nowej drodze życia nadzwyczaj konweniował Poeta, podziękowałam Gwiazdom i z prawdziwą rozkoszą oddałam się muzowaniu.

W tym samym mniej więcej czasie w Internecie zaczęły się zawiązywać pierwsze grupy dyskusyjne. Należałam już do jednej, zaprosił mnie pewien znajomy fizyk - bo wtedy to jeszcze byli informatycy, matematycy, fizycy, którzy inicjowali te ultranowoczesne wirtualne zabawy w usenetowe społeczności. Ta powstała w Kanadzie. Dzięki temu zaczęłam publikować swoje teksty również w przestrzeni wirtualnej, na portalu *Zwoje-Scrolls*. Podobało mi się kontaktowanie się przez sieć z całym światem.

Wkrótce potem i w Polsce zaczęły nieśmiało pączkować grupy dyskusyjne. Wśród nich *pl.hum.poezja*. I jak dawniej kochankowie lądowali w alkowie, tak my, Muza i Poeta, wylądowaliśmy na *pehapie*. A tam czysta orgia, Poetów na pęczki, Muz całe wianuszki. W pierwszym momencie poczułam się jak Mały Książę, który myślał, że róża, którą kochał, jest jedna jedyna we Wszechświecie... po czym ujrzał cały ogród róż...

Jednak gdy otrząsnęłam się po wstrząsie od *embarras de richesse* (znaczy klęski urodzaju), zauważyłam, że *kulturowy gender* ma się na *php* jak ryba w wodzie: Poeci wymiennie stawali się Muzonami, Muzy Poetessami. Zrobiło się jak w basenie *jacuzzi*, bul, bul, bul, bulgotało, kipiało i syczało. Bombardowani ze wszech stron, wirtualnie łączyliśmy się i rozdzielali w coraz to nowe pary, trójkąty, czworokąty i inne geometryczne figury i

konfiguracje. Tak musiała wyglądać ta pierwotna zupa sprzed miliarda lat, w której zawiązywały się pierwsze aminokwasy, czasami nawet dawało się wyczuć zapach siarki i amoniaku.

Ale ogólnie był tam ożywczy duch dla poezji i nawet mnie, nie-poetkę, zapłodnił. A jeszcze tak niedawno pisałam o spotkaniu poetyckim w Klubie Basi Młynarskiej - Katarzyna Łaniewska czytała wiersze o miłości, w tym wiersze Szymborskiej o miłości (i nie tylko o miłości), Janusz Olejniczak jej akompaniował - i nic, żaden znak, żaden anioł z nieba mi nie obwieścił, że wkrótce sama pocznę.

A tymczasem... tymczasem Wisława Szymborska z nagrodą Nobla na koncie zaszalała i z bardzo malutkiego mieszkanka trochę dalej od mojego krakowskiego lokum przeprowadziła się do nieco większego... o krok ode mnie. Więc kiedy bywałam w Krakowie, na przykład na okoliczność zlotów poetyckich php "*w realu*" (jak zaczęto nazywać rzeczywistość w przeciwieństwie do "*wirtualu*"), i chodziłam po pobliskim deptaku, czasami się z nią mijałam. Fama poszła, że to ona zainicjowała (czyli zasponsorowała?) doprowadzenie zdziczałej Młynówki Królewskiej do stanu używalności. Mieszkający w pobliżu Kraków przechadzał się elegancko. Zwłaszcza ten wyprowadzany na spacery przez psy [1].

Do Klubu Basi jednak nie dała się zaprosić. Od czasu do czasu tu i tam czytywało się, że poetka nie lubi popularności, unika dziennikarzy, nie chce publicznych występów, pokazuje się, jeśli już naprawdę musi itd. itp. [2] A na straży jej prywatności stanął nieprzejednany żelazny rycerz, albo, używając bardziej współczesnego języka, nieprzepuszczalny *fire wall*, zapora ogniowa, jej sekretarz, Michał Rusinek. Pierwszy Sekretarz Noblistki. Nic się nie prześlizgnie. Żaden list, żadne zaproszenie, żaden dziennikarz. Noblistka musi dojść do siebie, bo po *szoku sztokholmskim* nadal nie jest w stanie pisać.

Trudno, za to do Klubu zleciały trzy inne poetki, nie noblistki, ale równie uskrzydlone: Ludmiła Marjańska, Adriana Szymańska i Urszula Kozioł. Spotkanie było jak zwykle niezwykłe, a ja cieszyłam się, że mogę Trzy Panie Poetki poznać, posłuchać, sportretować, a nawet mieć ukrytą satysfakcję, że i ja aspiruję do Parnasu, skąd przybywały.

To było w maju 1999 roku. Dopiero się rozkręcałam. Grupa pl.hum.poezja też dopiero się rozkręcała. Z mojej dzisiejszej perspektywy mogę powiedzieć tylko tyle: to był unikatowy uniwersytet poetycki, te kilka lat na php. Codzienny kontakt z wierszami, fakt, jakościowo różnymi, ale nawet sama Szymborska odpowiadając na listy adeptów poezji do redakcji "Życia Literackiego", dla której pracowała, czytała wszystko jak leci. [3]

Uświadomienie sobie oraz konieczność sformułowania swojej opinii, czy to dobrej, czy złej, czy umiarkowanej, dowcipnej czy poważnej, oraz dyskusje z innymi opiniodawcami, często bardzo ostre i przeciągające się kilka dni fechtunki słowne, pisanie własnych wierszy i wystawianie ich na krytykę - natychmiastową i bezlitosną z całopaleniem włącznie - czytanie i omawianie wierszy poetów już uznanych za takowych, klasyków czy awangardy, książki o poezji, tłumaczenia i próby tłumaczeń, a także zaglądanie do poetyckiej kuchni i mieszanie w garnkach, i to w stanie najwyższego zaangażowania - nie masz lepszej szkoły!

Mieliśmy wszyscy swoje *nicki*, czyli internetowe pseudonimy, pod którymi się ukrywaliśmy - wtedy jeszcze mało kto wiedział ze świata realnego, co to jest ten tajemniczy "nick"; jak na takich forach byliśmy wszyscy na "ty" - to była nowość wynikająca stąd, że *lingua franca* netu to angielski; ćwiczyliśmy się w używaniu emotikonów, z różnymi skutkami wdrażaliśmy w wirtualny żywot zasady sieciowego *savoir-vivre'u*, netykiety - wtedy *novum*, wszystko było wtedy nowe.

Urządzaliśmy poetycje turnieje, na przykład na najlepsze "Chruśniaki" (na wzór Leśmianowego oczywiście), zawody na limeryki i moskaliki, wyścigi na haiku, pisanie sonetów, czy - wyższa szkoła jazdy - vilanelli, bawiliśmy się wyśmienicie, czy to samemu stając w szranki, czy tylko komentując, choć czasami krew się lała, serca bolały a sponiewierane ega długo lizały rany... Aż w końcu ogłosiliśmy wielki *coming-out*, zaczęliśmy zdradzać, kim jesteśmy i w konsekwencji postanowiliśmy poznać się osobiście, zmierzyć się ze sobą fizycznie, że tak powiem. W

konsekwencji ogłosiliśmy "*zlot*".

Był to Pierwszy Wielki Zlot Wirtualnych Poetów w realu w skali całej Polski (a może nawet i świata?) [4]. Wydarzenie historyczne. Odbył się w Warszawie w prywatnym mieszkaniu jednego z nas, poetów php. Zleciała się nas dwudziestka piątka. Dwupojowe mieszkanie wypełniło się po brzegi poetami. Kilka osób było spoza Warszawy. Z bliska i z daleka, z Kielc, z Wrocławia... Ja zleciałam - dosłownie - z Zurichu, przyjechałam prosto z lotniska. Każdy przywiózł swój najnowszy, niepublikowany jeszcze na php wiersz, odczytywaliśmy te wiersze w trakcie spotkania do późna w noc.

To była próba ogniowa, przeważnie widzieliśmy się po raz pierwszy w życiu, byliśmy tym onieśmieleni i stremowani. A zarazem mieliśmy za sobą niejedną ostrą potyczkę wirtualną i byliśmy ze sobą zżyci jakbyśmy już ze sobą niejednego konia ukradli i niejedną beczkę soli zjedli. Znaliśmy przecież swoje najsłabsze, najdelikatniejsze, najbardziej czułe i najbardziej podatne na zranienia strony. Zdumieni przyglądaliśmy się sobie po raz pierwszy a przecież na php zaglądaliśmy sobie głęboko w dusze i grzebaliśmy w nich ostrymi narzędziami.

Dziś to już sprawa zamknięta, php istnieje nadal, ale my, e-poeci złotych czasów grupy, poza nielicznymi wyjątkami, rozpierzchliśmy się "w realu" i każdy robi swoje. Wielu z nas powiązało się w rzeczywiste znajomości, przyjaźnie, a nawet miłości i małżeństwa (i w międzyczasie, bo czasu upłynęło dość, rozstania i rozwody), kilku wydało swoje własne tomiki, niektórzy spotykają się na innych forach internetowych, na przykład na Facebooku, inni wycofali się do swoich światów.

Jednak zanim do tego doszło, jeden z aktywniejszych poetów php wyszedł z inicjatywą wydania wierszy php na papierze, a wcześniej komentująca z wielką werwą i wiedzą (choć sama niepisząca wierszy) polonistka zebrała 44 wiersze (+1), 44 autorów i ogłosiła je na php pt. "czarno na białym: czterdzieści i cztery dowody na obecność poezji w pl.hum.poezja" [5]. Zaprosiła i mnie do udziału w tej antologii, co oczywiście było dużym wyróżnieniem zważywszy ilość wierszy na php.

Natomiast do papierowego wydania dostałam zaproszenie niejako pod włos: "*Żaden z twoich wierszy mi się nie podoba z wyjątkiem jednego, więc choć od wszystkich zebrałem po trzy, ciebie proszę o ten jeden, zgadzasz się?*" Czy ktoś by się zgodził na tak sformułowane zaproszenie? Odmówiłam.

Ale na tyle grzecznie, że i tak dostałam zaproszenie do audycji telewizyjnej "Autograf", w której przedstawiano i tomik, i jego pomysłodawcę. Komentatorami byli: Jerzy Stuhr i Stefan Chwin, gośćmi: Urszula Dudziak oraz ów Poeta. Program prowadził Jacek Żakowski. Na widowni telewizyjnego studia zasiedliśmy my, dumni autorzy pehapu. To był szczyt sukcesu grupy. Potem już była równia pochyła. Grupa - w tym naszym prekursorskim składzie - zaczęła się powolutku lecz nieuchronnie sypać [6]. Choć jeszcze ciągle odbywały się zloty. Byłam na kolejnych dwóch: w Krakowie i w Zgorzelcu, oba niezapomniane, a ten w Zgorzelcu był bodaj najświetniejszy ze wszystkich przedtem i potem.

Doczekałam się też i ja "gutenbergowskiego" debiutu, poetka php, ta, która urządziła zlot w Zgorzelcu właśnie, poleciła mnie w miesięczniku "Odra". W 2006 roku zadebiutowałam wierszem "Pożegnanie - powitanie". A kilka lat wcześniej dostałam z zupełnie skądinąd zaproszenie na obchody 40-lecia "Odry". Było to wiosną 2001 roku.

Przed zapisaniem się na php poezję czytywałam od przypadku do przypadku, choć miewałam okresy fascynacji Haliną Poświatowską, Marią Pawlikowską-Jasnorzewską, Emily Dickinson, Sylvią Plath, czy Nelly Sachs, no, i, oczywiście Szymborską... przez kilka lat pehapu zajmowałam się poezją bardziej metodycznie i przede wszystkim dzień w dzień, codziennie czytałam po kilka do kilkunastu wierszy i komentarzy, dopisywałam swoje, poznawałam historię poezji...

Ale Wisława Szymborska nadal pozostała "moją najbardziej prywatną" poetką. Więc pewnie to nie przypadek, że gdy sama zaczęłam pisać wiersze, niektórzy z pehapowskich krytyków porównywało je z poezją Szymborskiej. *In*

plus i *in minus* zresztą. Okazało się bowiem, że nie wszystkim podoba się ich "zwyczajność", "prozaiczność", "niepoetyckość". Podczas gdy dla mnie to właśnie jest ich wartością.

Któregoś razu przeczytałam wywiad z Michałem Rusinkiem. Mówił, jak chroni naszą noblistkę przed ogromną ilością korespondencji, telefonów i zaproszeń ze wszystkich stron świata. Ale mówił też, że czasami któryś list czy zaproszenie do poetki przedostaje się przez gęste sito jego weryfikacji. I podał adres jej biura.

Wtedy postanowiłam do niej napisać. Bo po przeczytaniu tego wywiadu byłam spokojna, że nie dołożę się do góry zasypujących ją listów. Jej sekretarz list zatrzyma, jeśli uzna, że tak jest lepiej. A postanowiłam napisać, bo na php objawił się poeta zupełnie wyjątkowy. Wielu z nas, phpowiczów, zachwycał. Choć niektórych wkurzał, jego poezja była, fakt, zupełnie osobna, niezwykle bogata w skojarzenia, a zarazem bardzo nowoczesna i nieprzewidywalna. Zdaniem jednych *mega*talent i magia, innych, błazenada i szarlataneria, czy spodoba się prawie 80-letniej poetce?

Zebrałam więc kilka najbardziej charakterystycznych wierszy pehapowego geniusza, napisałam nie-za-długi, nie-za-krótki list co i jak i… w ostatniej chwili, na zakończenie, zamiast się przedstawić zwyczajnie, przedstawiłam się wierszem. List nadałam w Zurichu. Nie spodziewałam się odpowiedzi, ale postąpiłam w myśl mojej życiowej zasady: "chcesz wygrać, wypełnij kupon". Ciągle był rok 2001.

Zbiegło się to z zaproszeniem na obchody jubileuszu "Odry", na które pojechałam, i wtedy okazało się, że wśród gości jest Wisława Szymborska pod rękę ze swoją przyjaciółką Urszulą Kozioł. A Urszulę Kozioł znałam przecież ze spotkania w Klubie Basi. Pamiętała mnie (jeszcze). Przedstawiła Wisławie Szymborskiej. Przez jedną więc chwilkę na całą wieczność "moja najbardziej itd..."-poetka poświęciła mi swoją uwagę i uśmiech. Zaraz potem się skrzywiła, bo otoczyli ją fotografowie i zaczęli obstrykiwać, czego, jak wiadomo, nie lubiła.

Obróciłam z Wrocławia do Krakowa i wróciłam do domu, do Zurichu, do pracy w "swojej" redakcji… a tu… masakra. Nasza redakcja splajtowała. Za duże koszty własne, za mały zysk. Dramat właśnie trwał, wszyscy dostali wypowiedzenie… z jednym wyjątkiem, jak się miało w wyniku różnych polsko-alpejskich kombinacji okazać, mnie.

Dygresja o tyle jest istotna, że gdy w listopadzie 2001 roku z biura Wisławy Szymborskiej nadeszła na mój zuryski adres odpowiedź na mój list, ja już - pracując w tej samej szwajcarskiej redakcji - byłam w… Krakowie. Ot, taka losowa wolta jak za wypowiedzeniem zaklęcia, bo bardzo chciałam pomieszkać sobie znowu w Krakowie.

Był to efekt globalizacji i, kto to może wiedzieć, gwiezdnych autorek mojego CV: redakcję przeniesiono do kraju o "tańszej sile roboczej", a że przypadkowo była to Polska, nie tylko nie straciłam pracy, ale jako przypadkowo jedyna w niej Polka awansowałam na "red. nacz." tej polskiej już redakcji… na dobitek z pensją jeszcze szwajcarską i szwajcarskimi świadczeniami, bo poślizgiem w ramach "pakietu pożegnalnego".

Z pośligiem też dotarł do mnie list od Wisławy Szymborskiej. Wysłany w Krakowie zatoczył koło i przez Zurich - wrócił do Krakowa. A ja zamieszkałam w swoim krakowskim mieszkaniu bardzo blisko noblistki i o trzy rzuty beretką od nowej redakcji przy Parku Krakowskim. Po pół roku zaś nie zdecydowałam się na zostanie w niej już na polskich warunkach, tylko przeniosłam się do redakcji krakowskiej Wyborczej, bo taka szansa się przede otworzyła. Na zakładkę z ostatnim felietonem z cyklu "Lektur nadobowiązkowych" noblistki w GW.

Zaś wykorzystawszy szansę "popracowania sobie" w "prawdziwej polskiej redakcji" gazety, którą lubiłam, wróciłam ponownie do Zurichu i zaczęłam się zastanawiać, w jaką życiową przygodę by się tu wpuścić, a że póki co miałam kasę na życie, wybrałam się do Indonezji na rejs z moim - tymczasem już rozwiedzionym ze mną - Żeglarzem, który zdążył od naszego pamiętnego rozstania na Korfu opłynąć cały świat. Tym razem na miesiąc i bez innych "gości". Za to po koleżeńsku mogliśmy się nagadać do woli, bo zawsze nam się dobrze ze sobą rozmawiało. A partnerka życiowa Żeglarza akurat była w ciąży i nie mogła z nim pływać.

Wiem, jest to cokolwiek skomplikowane, choć przysięgam, upraszczam. Jednak całkiem niedawno, przy okazji

pisania recenzji pośmiertnego debiutu Szymborskiej, tomiku "Czarna piosenka", dowiedziałam się z różnych wspomnieniowych książek o *patchworkowych* relacjach poetki, gdzie - czy to ona sama, czy jacyś ludzie z jej otoczenia - opowiadali o jej bliskich i serdecznych kontaktach z jej pierwszym mężem, Adamem Włodkiem, jakiś czas partnerem Ewy Lipskiej, jej przyjaciółki, z kolei przyjaźniącym się od czasów młodości z Kornelem Filipowiczem, towarzyszem życia przyszłej noblistki od końca lat 60. do jego śmierci w roku 1990. Można? Można!

Bo choć gorzki wiersz "Klucz", który rozpoczyna całą tę moją wspomnieniową opowieść, mówił o tym, że "*jest klucz i nagle nie ma klucza / Z miłością, jaką mam do ciebie, / gdyby to samo się zdarzyło, / nie tylko nam: całemu światu / ubyłaby ta jedna miłość*." Okazuje się, że miłość może się skończyć, ale wzajemna sympatia i życzliwość nie musi ginąć i światu przybywa nowa przyjaźń oraz mnożą się nowe miłości.

Gdy w październiku 2014 roku zaczęłam pisać recenzję "Czarnej piosenki", zagłębiłam się w książki o Wisławie Szymborskiej, Adamie Włodku, Kornelu Filipowiczu itd., itp. Niektóre przeczytałam po raz wtóry (a nawet kolejny), inne po raz pierwszy. Równocześnie przez moją głowę przesuwały mi się moje osobiste wspomnienia, które jakoś się nakładały na te lektury. Zaczęłam je spisywać.

Kupiłam też ostatnią książkę o Szymborskiej "Zachwyt i rozpacz", wspomnienia różnych osób o poetce. Pisanie i rozmyślanie splatało mi się z czytaniem. Oczywiście ludzie, którzy ją znali osobiście, bliżej czy dalej, mają zupełnie inne wspomnienia, ja tylko bywałam czasami na różnych oficjalnych spotkaniach z nią [7], nie znałam jej osobiście, choć mieszkała tak blisko, że zdarzało mi się wyminąć się z nią w tym samym kiosku i mówić "*dzień dobry*" / "*do widzenia*" w tę samą przestrzeń (to taki kiosk wchodzony).

Nie mogłam jej przecież zaczepić i powiedzieć jej, że kiedyś napisałam do niej list, na który - mimo braku czasu - zechciała mi odpowiedzieć, co wprawiło mnie w autentyczny zawrót głowy, myślałam sobie wtedy: "*Wypełniłam kupon i wbrew wszelkim rachunkom prawdopodobieństwa wygrałam! Coś innego, ale więcej, niż się spodziewałam!*" Jako żywo nie prosiłam jej o ocenę mojego wiersza.

https://www.youtube.com/watch?v=F3DekBUPxaA&feature=youtu.be

To było ponad 13 lat temu, nigdy i nigdzie tego nie ogłaszałam, nie rozpowiadałam, nawet moje przyjaciółki tego nie wiedzą, uznałam to za sekretne błogosławieństwo na wyboistą poetycką ścieżkę, którą pokonywałam sama. Mało mam wierszy w swoim "dorobku", za każdym razem, gdy jakiś pomysł na wiersz przychodzi mi do głowy - najczęściej we śnie - jestem wdzięczna przychylnej mi Muzie czy szczodremu Muzonowi, bo za każdym razem myślę, że to będzie już ostatni.

Nie umiem pisać wierszy z metra, metafory nie sypią mi się z rękawa, każdy jest pomysłem od zera, całkiem nową historyjką, właściwie to prozą, tyle że bardzo zwięzłą, ale wiem, że czasami tylko wierszem można oddać pewne zapętlenia, nonsensy i paradoksy.

Gdy we wrześniu 1998 roku wpatrywałam się w *Milky Way* nad Adriatykiem, nie zauważyłam żadnych mrugnięć w moją stronę, nie wiedziałam, dokąd zdąża moja droga i co będzie dalej, bo i skąd? Dziękuję wam, Gwiazdy, że wiedziałyście lepiej ode mnie! Dziękuję, Pani Wisławo!

A oto, co mi napisała w liście z 18 listopada 2001 roku:

Szanowna Pani Elżbieto,

dziękuję za miły i w dodatku pełen ciekawych informacji list. Z przysłanymi wierszami jest jednak kłopot. Rzeczywiście, kiedyś, przez wiele lat, zajmowałam się ocenianiem poezji, ale to nie znaczy, że już powinnam to robić do końca życia. Skończyłam z tym już jakieś 15 lat temu, a od lat kilku w ogóle już tego robić nie mogę, bo kompletnie brak mi na to czasu. Przepraszam, że sprawiłam Pani zawód, ale wiersz Pani "Spojrzenie" zdążyłam

przeczytać i podobał mi się.

Serdecznie Panią pozdrawiam.

Wisława Szymborska

I ten wiersz, który przemianowałam na "Autoportet z Voltairem" zanim nadszedł list i pochwalił "Spojrzenie":

kciukiem od lewej dłoni
palcem wskazującym prawej
kciukiem prawej - palcem lewej

wykrawam sobie z życia
mój własny odrębny kadr

jedno oko przymykam
- niech spogląda w głąb ego -
drugie tym ostrzej wyostrzam

i ruszam w pościg i jestem
i jestem wszędzie tam

gdzie zderza się miejsce i czas
wydarzeń na gorąco

bo oto wielki Voltaire
powiedział coś bardzo ważnego
na tym najlepszym ze światów

klik, klik, jest, jest, mam

i Chopin po kłótni z George Sand
horrendalnej i bardzo głośnej
usiadł do fortepianu (białego, białego)
w znienawidzonej Valdemosie

klik, klik, jest, siedzi, gra, klik - byłam tam!

a Lautrec w bezwstydnej pozie
w podupadłym burdelu
wśród syfilitek-kokot?

pstryk, pstryk, pstryk, pstryk
seria i jeszcze trochę
bo niby kto jak nie ja?

spojrzenie mam wyczulone
a jeszcze ostrzę i ostrzę
to moje osobiste, śmiertelne, żądne
skrzywienie zawodowe

być tam i tylko tam

gdzie delfin kocha się z falą

gdzie nikt jeszcze nie zebrał
szczęśliwych frutti di mare

gdzie cyklon błękitne oko
wytęża w stronę przestworzy
i dyszy świeżym ozonem

tam bawię i ja, i ja

uczeń skrzydlatych spojrzeń
wieczny tułacz fotograf
ja - paparazzo samotny

*

Zurich, 13 marca 2001